

Amerykańskie mormyszki

Autor: Jacek Józwiak

O mormyszkach innych od rosyjskich. O podlodowych łezkach, które spotyka się w sklepach. Są inne, hak jest na dole. Jak na to łowić, jak prowadzić i jak zaciągać...

Zimowe brania okoni tak bywają delikatne, że kiwkok ledwo odchyli się, wygnie, zadrga. Podcięcie i oto okazuje się, że tak finezyjnie zagryza przynętę kilowy garbus, posiadacz paszczęki, która pomieściłaby niejedną mormychę... Zdarzają się dni, że wydawać by się mogło, iż nie ma sposobu, aby sprowokować pasiaste drapieżniki do agresywniejszych zachowań.

Biorą półgębkiem, niemrawo - zdać by się mogło, że interesują się pojedynczą ochotką ozdabiającą hak przynęty. Niczym wąskogębe płoteczki, które pasjami wyprowadzają z równowagi wędkarzy, wysysając smakowitą zawartość czerwonych larw.

Istnieje jednak przynęta, którą zirytować można okonie i zmusić je do naturalnych, drapieżnych zachowań. Od kilku lat na polskim rynku napotkać można nietypowe przynęty zimowe - mormyszki amerykańskie, w których hak lub mikrokotwiczka położone są w diametrze przynęty, a więc zupełnie inaczej niż w tradycyjnej mormyszce rosyjskiej. SYNDROM KAŁASZA

Bardzo często mormyszki amerykańskie proponowane polskim wędkarzom są prześliczne. Staranne malowane, zdobione czymś na kształt anielskich włosów, dopracowany do perfekcji kształt, kąśliwie wtopiona w korpus podwójna lub potrójna kotwiczka aż korcą, by wypróbować przynętę na łowisku. Zakłada się na ogół mormyszkę amerykańską na dobry, wypróbowany od pokoleń zestaw służący do prowadzenia tradycyjnej mormyszki syberyjskiej, tej z hakiem "w poprzek". Okazało się to najdoskonalszą metodą do bezpowrotnej rezygnacji z tej przynęty. Sam pamiętam, ile krwi napsuły mi puste zacięcia podczas łowów na Zalewie Szczecińskim.

Tamtego dnia znakomicie gryzły okonie. Przy pomocy tradycyjnego kielzuczka można ich było naskubać bez liku. Wielkościowych rewelacji nie stwierdziłem, ale patelniaków mnóstwo. Ot, takich konsumpcyjnych matiaszków, jak zwą dłoniaki wędkarze z Kamienia Pomorskiego. Amerykańskich mormyszek miałem w swoim zbiorze kilkanaście, w tym kilka o malowaniu mającym naśladować rybie oko.

Założyłem właśnie taką na koniec mojego zestawu. Okazała się niezwykle skuteczna - okonki tłukły w nią tuż po lodem. Praktycznie na każdej głębokości spotykało się brania. Co z tego, jeśli w żaden sposób nie mogłem trafić ryby w pysk. Zacięcia okazywały się puste. No, może jedno na dwadzieścia, trzydzieści kończyło się okonkiem na lodzie.

Czegóż to ja nie wyprawiałem... Zawzięłem się, że nauczę się zaciągać tą dziwną przynętą. Wpuszczałem "oczko" w przerębel, zagryzałem wargi, spinałem się niczym elektroniczny gambler na flipperach, wstrzymywałem oddech... Podcięciem z nadgarstka kwitowałem każde podejrzanе zachowanie się kiwoczka. Usztyniłem się do tego stopnia, że któreś z podcięć spowodowało, że rymsnąłem na lód po ześlizgnięciu się ze stołeczka.

Z kaszubskim uporem próbowałem tak do późnego zmroku. Z wiadomym skutkiem. Dopiero po lekturze amerykańskich czasopism wędkarskich pojąłem, że postępowałem podobnie jak ten chłop, co to zegarek kłonicą nakręcać ma ochotę. Ot, syndrom kałasza - była taka reklama kołowrotek, którymi dealer radził zabijać ryby; ponoć miały być skuteczniejsze od krótkiego bojowego karabinka automatycznego. Łowienie techniką syberyjską przy zastosowaniu mormyszki rodem z USA jako żywo przypominało tę reklamę. Taka sama głupota! MIKROSPINNING

Trudno podejrzewać Amerykanów o finezyjne łowienie, skoro posiadają oni wody, w których aż roi się od bassów, krappi i innych ryb tak pazernych na przynęty wędkarskie, że można je łowić na uzbrojony otwieracz do butelek. Ogromny asortyment przynęt charakteryzujący tamten rynek wynika z konkurencji handlowej, nie zaś z wyjątkowego wysublimowania smaku tamtejszych ryb.

Bassy często łowi się spod lodu. Właśnie na te ryby wymyślono przynętę, którą w Polsce przewano mormyszką amerykańską. Tymczasem technika połowu na łezki (fish tears) ani trochę nie przypomina znanej u nas kielzuczkówki.

Rybią łezkę prowadzi się podobnie jak tysiące przynęt płasających, jigowych - przez podnoszenie i opuszczanie szczytówki. Jako żywo przypomina to technikę łowienia na błystkę podlodową - jedyną różnicą jest mniejsza amplituda wymachów mikrowędziskiem. O ile błystka podlodowa znosi nawet styl typu kolano-oko, o tyle wymachy mormyszką amerykańską powinny ograniczać się do wahań najwyżej dwudziestocentymetrowych. Ot, taki podlodowy mikrospinning...

Trafiają się niekiedy w sklepach i na giełdach amerykańskie wędziska podlodowe. Właśnie na takie kijki, długie na 75-100 cm, łowi się bassy na Wielkich Jeziorach. Wydawać więc by się mogło, że zastosowanie podobnych zestawów w Polsce powinno zakończyć się amerykańskimi efektami. Niestety, to się nie sprawdza. Okoń nie jest bassem wielkogębowym. Ani nawet małogębowym bassem nie jest. Pisałem już o fanaberiach, jakim podlega apetyt tego pręgowanego drapieźnika. Spróbujmy zajrzeć pod wodę, by zrozumieć dlaczego mormyszkę amerykańską należy w Polsce stosować w finezyjny, udelikatniony sposób... Niczym najbardziej czułą, subtelną i typowo europejską jigóweczkę.

Okonie pod styczniowym lodem nie biorą już tak aktywnie jak na pierwszej tafli. Środowisko wodne ogarnięte jest zimowym bezruchem, pod skutą powierzchnią ustalają się warunki, zaczyna być odczuwalny tlenowy deficyt. Okonie żerują raz na kilka dni. Patrolują wówczas kanty, wędrują wzdłuż uskoków dna, zapędzają się pod trzciny. Na ogół jednak siedzą przez całe dni po rozmaitych wykrotach, jamach, dziurach... NIE ŻERUJĄ...

Nie oznacza to jednak, że przepuszczają smakowitemu kaskowi, który podrygiwał będzie w ich pobliżu. Zdarza się, że darują życie kiełbiczkowi, który zapędzi się w pobliże ich paszczęki, ale na przykład pijawce nie przepuszczają, nie ujdzie z życiem kiełz, ośliczka czy nawet zbyt ruchliwa larwa ważki czy widelnicy.

Od początku stycznia swe ostoje znajdują okonie - myślę tu o poważnych garbusach, nie pasiastym małolactwie - w głębinach jezior i zbiorników zaporowych. Kamienne zwałowiska, zatopione drzewa, ilaste zbrylenia czy szczątki zatopionych domostw w przypadku zalewów, znajdują się niejednokrotnie poniżej dziesięciu metrów głębokości.

Trudno tam operować syberyjską mormyszką. Większość lodziarzy próbuje sięgać do okoniowych mateczników pilkercami, ale te nie zawsze mają moc wywabiania pręgowanców z ich nor. Pracują zbyt szybko, nieprzewidywalnie, zaś odrętwiąłe drapieźniki nie wykazują ochoty, by się zbyt facygować...

I właśnie w takich sytuacjach - a od początku stycznia do pierwszych odwilży tak będzie zazwyczaj - nieocenione usługi oddać może przynęta zwana mormyszką amerykańską, bądź - ładniej - rybią łzą.

MARIAŻ WSCHODU Z ZACHODEM

Aby nie łowić tak mało subtelnie, jak robi się to w Ameryce, warto stylistykę Zachodu połączyć z subtelnościami Wschodu. Wędeczkę, która będzie idealnie łączyć obie tradycje, łatwo wykonać samemu. Po prostu do standardowego kijka służącego do łowienia na mikropilkery trzeba przymocować dość sztywny, długi kiwak zakończony mikroprzelotką. Sporządzić sygnalizatoręk można ze struny gitarowej, ze stalowej sprężyny od zepsutego budzika czy z paska wyciętego ze sprężystego plastiku. Z rzadka można gotowe kiwaki kupić w sklepie wędkarskim - w ich wyrobie celują Finowie oraz rzemieślnicy z Norwegii.

Sama technika jigowania mormyszką amerykańską na polskim kiwaczku jest dziecinnie prosta. Sprowadza się rybią łezkę na dno w okolice kamienisk, zwałowisk czy muldziastych glinowisk, stuka przynętą o wysłanie dna i delikatnie podrywa szczytówkę kijaszka. Pozwala się przynęcie opaść, niekoniecznie na dno, aż do wyraźnego ugięcia sygnalizatoręk. Można nieznacznie podrygiwać łezką, "podbijać" ją o centymetr, dwa. Po chwili znów podrywa się szczytówkę, zatrzymuje na moment w górnym położeniu, gra mormyszką i ponownie pozwala jej opaść.

Nie trzeba się niecierpliwić brakiem brania. Bywają dni - im dalej w zimę tym ich więcej - że okoń daje się wywabić ze swojej dziury dopiero po kilkunastu minutach. Należy starać się o jak najbardziej urozmaiconą pracę rybiej łzy. Pobicie następuje najczęściej przy gwałtownej zmianie rodzaju ruchów.

Polscy producenci zresztą poszli dalej - wyprodukowali otóż spore mormyszki z wtopionym w grzbiecik oczkiem, ale pomalowali je jak "amerykany". Są na tyle ciężkie, że nie ma mowy o klasycznym mormyszkowaniu - trzeba łowić jak łezkami z Ameryki.

I tu kolej na zadziwienie. O ile tradycyjną mormyszkę okonie chwytają z oporami, bardzo delikatnie, o tyle w prawidłowo prowadzoną rybią łzę - jeśli już zdecydują się na atak - walą jak na garbusy przystało. Sztywny kiwak ugina się mocno, spazmatycznie, ba, zdarza się nawet poczuć na kiju autentyczne pobicie. W styczniu i w lutym rzadkość to prawdziwa i na dobrą sprawę jedynie mormyszka amerykańska zapewnić może równie ekscytujące połowy.